Rok 1939 14 maja Nr. 20

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“



Młodzież szkół powszechnych Warszawy z własnych drobnych oszczędności ufundowała rowery i karabiny dla armii i ofiarowała je Naczelnemu Wodzowi Marszałkowi Edwardowi Śmigłemu Rydzowi, który jak widzimy na zdjęciu, z uradowaniem przyjął te dary i serdecznie dzieciom za nie dziękuje. W uroczystości tej brała też udział wycieczka dzieci polskich z Zaolzia. W przemówieniu swym do młodzieży szkolnej Wódz Naczelny z uznaniem stwierdził jej patriotyzm, którego dowodem są tak liczne a wzruszające ofiary na F. O. N.

Pastuszki i Matka Boska

Poklękliśmy przed Tobą,
W złocistej Ty koronie.
Z kapliczki Twojej do nas
Te jakieś idą wonie.

Przychodzim Ci powiedzieć,
Że pacierz już umiemy,
Tylko, że od tych świateł
Tak każdy z nas jest niemy.

To jabłko to dla Ciebie,
Obilim je nad płotem,
Tak samej Ci jest smutno,
To zjesz je sobie potem.

A za to Cię prosimy,
Bo to jest bardzo blisko,
Synkowi swemu pozwól
Iść z nami na pastwisko!

Pokłonią mu się drzewa,
Uśmiechną się doń chaty,
Gdy pośród nas na łące
Paść będzie białe kwiaty.

Da mu się złapać motyl,
Źdźbło każde da mu rosę,
A kamień sam przed sobą
Ostrzeże nóżki bose.

Aż znużonego szczęściem,
Przez te pachnące ścieże
Przywiedziem Ci go do dom
W liliowe odwieczerze.

A kiedy odejdziemy,
Ty także będziesz rada,
Że Ci przy srebrnych gwiazdach
Swe szczęście opowiada.

Stanisław Maykowski.

Nie będziesz już patatą...

W opowiadaniach Ojców misjonarzy wiele bardzo miejsca zajmują dzieci. I nie dziw. Wszak to najmilszy, najpewniejszy dorobek w ich bezmiernej pracy i nadludzkich niekiedy wysiłkach. Małe, czarne, kędzierzawowłose Murzyniątka są ulubieńcami wszystkich apostołów, którzy do dziś dnia, za przykładem swych najpierwszych poprzedników, idą ciągle w świat i nauczają, posłuszni słowom Boskiego Mistrza. Bardzo wdzięczny obrazek z gorącej Afryki podaje pewien misjonarz włoski. Siedział on raz, w tchnące żarem południe, za płócienną zasłoną werandy misyjnego domu, odmawiając swe kapłańskie pacierze. Wśród ciszy zaplaskały nagle kroki dziecięce i wsunęła się za zasłonę czarnowłosa główka dziewczynki. Chociaż kapłan nie przerywał modlitwy, jakoby nie zważając na przybyłą, Murzyneczka postępowała dalej. Wreszcie odzywa się cichutko: — Pozdrawiam cię, Ojcze, co po murzyńsku brzmiało: Jambo, Patere.

Pozdrowił ją wzajemnie misjonarz, nazywając żartobliwie „kibiriti", co oznacza zapałkę, tak bowiem cieniutką i drobną była czarna Romka. — A nie boisz się zapalić po drodze w takim ogniu z nieba? — dodał z uśmiechem.

Dziewczynka w odpowiedzi pokazuje lśniące białe zęby i oczyma pełnymi ufności patrzy na misjonarza. W końcu, jak gdyby w tej tylko sprawie tu przyszła, wyraża prośbę niewinną: Ojcze, proszę cię, poświęć mi ten medalik, dostałam go od Siostry w nagrodę za naukę katechizmu. Po tym wstępie dopiero dodaje głosem potulnym: A kiedy dostanę pierwszą Komunię świętą?

Misjonarz wiedział dobrze, że to było właściwym celem przyjścia dziewczynki, która nie mogła się doczekać upragnionej chwili i co pewien czas ponawiała swą prośbę.

— Przecież jesteś ciągle jeszcze maleńką zapałeczką, nie dosięgniesz na-

wet do balasek, jakże więc mógłbym ci podać Komunię św.?

Jakby oburzenie i uczucie grozy przewinęło się po twarzy dziecka.

— Czyż Pan Jezus patrzy na wzrost, nie na serce? A nie boisz się, Ojcze, że ci kiedyś Hostia św. z palców wyleci i położy się na moim języku, jak opowiadałeś nam o tej małej świętej, która tak bardzo chciała przyjąć Komunię św. (św. Imelda, nad której głową stanęła Hostia św. w czasie komunikowania przez kapłana zakonnic, a której Pan Jezus w ten sposób cudowny wynagrodził jej gorące pragnienie przyjęcia Go po raz pierwszy do swego serca). Zresztą — kończyła — jeśli nie dosięgnę do balasek, to poproszę mamy, by mnie troszkę podniosła. A usta i serce mam już dosyć duże, aby w nich Hostia św. mogła spocząć i pozostać — i na dowód tego otwarła usta jak mogła najszerzej.

Aby nie odmawiać dziecku i zyskać jeszcze na czasie, kapłan obiecał „zapałeczce“, że otrzyma to, czego tak bardzo pragnie, jeśli nawróci jakiego poganina. Można się było przecież spodziewać, że sprawa taka nie da się załatwić prędko. Romka jednak przyjęła to zupełnie poważnie. Podniosła tylko oczy w niebo, jakby tam szukała natchnienia, poczem skłoniła się Ojcu i cichutko opuściła werandę.

(Dokończenie nastąpi).

W dżunglach Amazonki

(Dokończenie)

Zorientowano się w mig, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi towarzyszom, którzy mieli właśnie nadejść stamtąd, dokąd powędrowały mrówki. Już następnego dnia spotkano jednego z tragarzy, który wlókł się prawie nieprzytomny, a gdy go odratowano, opowiedział, że oddział jego został napadnięty przez miliardy mrówek, które w mgnieniu oka pożarły wszystkie rzeczy i zbiory naukowe. Ludzie rozbiegli się na oślep, ratując jedynie życie. W ciągu następnych dni odnaleziono z wyjątkiem dwóch tragarzy, wszystkich członków nieszczęśliwej wyprawy na pół żywych z głodu i przerażenia.

Przewodnik tej części ekspedycji opowiedział, że gdy raz w czasie postoju chciał sfotografować rodzinę jaguarów, do których udało mu się podejść niepostrzeżenie, stał się właśnie świadkiem takiego napadu mrówek na te zwierzęta. Dzikie jaguary zostały wprost żywcem zjedzone w ciągu krótkiego czasu. Jednocześnie w całej okolicy rozległy się przeraźliwe głosy różnych zwierząt, które instynktownie przeczuwszy niebezpieczeństwo, rzuciły się jak szalone do ucieczki przed potopem groźnych owadów.

Podobnie zrobili i ludzie: rozbiegli się na różne strony i wdrapali się na wysokie drzewa, skąd w przerażeniu patrzyli na przewalającą się dołem potworną rzekę mrówek, niekiedy na metr wysoką. Po przejściu ich każdy w pojedynkę uciekał w inną stronę i prawdopodobnie byliby wszyscy zginęli z głodu, gdyby nie pomoc towarzyszy, którzy zawrócili dla poszukiwania ich.

Takie to i tym podobne niespodzianki czyhają na podróżników przedzierających się przez nieprzebyte dżungle Amazonki. Wszędzie czai się tam śmierć czy to od czatujących na konarach drzew jadowitych węży, czy od krwiożerczych „kotów“ ogromnych, jak wspomniane jaguary, czy od trujących kwiatów, niebezpiecznych drzew, czy od nieprzeliczonej masy kąśliwych owadów, czy wreszcie od zabójczej febry, panującej wieczyście na niezmierzonych rozlewiskach tej rzeki. A wszystko to rodzi się i żyje wśród niepojętego przepychu przyrody, możliwej tylko w krainach międzyzwrotnikowych.

Patrol Lwów

wieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy).

W blasku czuwaj gwiazd,
U swych czuwaj gniazd.
Ducha mocą —
Nocą
W blasku gwiazd.
W jasny czuwaj dzień,
Bo z chmur pada cień.
Jak w dzień, czuwaj w noc.
Ducha natęż moc.
Co krok
Poprzez mrok,
Wciąż wytężaj wzrok.
Bo któż to dziś dnia
Jutra swego treść zna?

— — — — — — —

W „hangarze“ zaterkotało. Mieczek zerwał się ze snu na swym polowym posłaniu.

— O, jakże prędko zrobiła się ta druga godzina — pomyślał sobie, zamykając budzik kieszonkowy i jął pośpiesznie wstawać, przy czym starał się, o ile możliwe, nie przeszkadzać towarzyszom, mimo, że ci obaj spali jak zabici dalej.

Za chwilę czatownik, idąc zwolnić pierwszą straże, opuścił swój szałas, ale gdy się w w bladym brzasku dnia rozejrzał po obozie, nie zobaczył nigdzie poprzednika.

— O, tak ci śpiesznie było, Janku — szepnął z cicha, nachylając się ku sąsiedniemu szałasowi — nawet na mnieś nie czekał... no, śpij, śpij...

I odszedł, zmierzając na zbocze wzgórza. Ledwie wszakże parę kroków postąpił, skulił się nagle, skurczył, jak gdyby miał ochotę skryć się pod ziemię. Na brzuchu przyczołgał się ku „loży szwajcara“ i przykucnąwszy, cały schowany za tyłem szałasu, wzrok wytężał przed siebie, jak gdyby chciał siłą swego spojrzenia rozjaśnić tę szarzyznę, co zalewała polanę w godzinie przedświtu.

Palce pracowały gorączkowo w kieszeniach, wyciągnęły coś, przygotowały, ale całe ciało wydawało się tkwić nieruchomo między spadkiem górki, a zielonym stożkiem namiotu, przytulone do niego i dla oka dalekiego widza zlewające się z tym stosem świeżych gałęzi w jedną całość.

Harcerz miał ważne powody do tej przezorności. Tam, po drugiej stronie majdanu, nieco niżej, za starą gruszą, pasło się na łączce stadko sarn: dwoje starych i troje młodziutkich sarniąt. Kozieł ciągle łeb dźwigał, nasłuchiwał i oczy wlepiał w kąt przeciwny, gdzie u stóp góry wczorajszego ranka jeszcze nie było takiej ściany zielonej ze stosu gałęzi. Wobec jednak ciszy zupełnej i bezruchu, niepokój opiekuna stadka mijał prędko, ułatwiając Mieczkowi pilną robotę.

On tu w swoim ukryciu zapolował na całą rodzinkę. Już je wszystkie pochwycił do swego szkicowego bloczka. Ołówek rysownika pracował pośpiesznie, mimo, że często oko spocząwszy na tym żywym obrazku po przeciwnej stronie majdanu, nie chciało się od jego piękna i uroku pogodnego oderwać przez dłuższą chwilę i z żalem wracało do białej karty papieru, zapełniającej się mnóstwem kresek.

Robiło się na polance coraz widniej. Mieczek, pełen radości, z zapałem kończył szkic, pełniejszy, gdy wtem do uszu wpadł głos chrapliwy, jakby coś u stóp jego zaskrzeczało. Nie odejmując ołówka od bloczka, wsłuchał się uważnie i zastanawiał, skąd charczenie to mogło pochodzić.

Teraz doszło go znowu jakieś mamrotanie i znowu wydało mu się, że to dolatuje doń od spodu.

— Coś musi być w „loży szwajcara“, pomyślał, gdy naraz ten sam głos chrapliwy, jak poprzednio, zakrzyknął:

— Czuwaj, Janku, czuwaj!

(Ciąg dalszy nastąpi).